

JÓZEF LASOŃ.

HEJ, KTO POLAK...

Z CYKLU: NASI ULANI.

(Obrazek z 1915 roku).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

4

Ciotka Albina bezustannie dolewała napojów do szklanek, zachęcając do picia. Nawet pannice dzióbki różowe umaczały w winie, rumieńce im wybiegły na twarze, humor i wesołość zapanowała.

Jak to na wojence ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie,

ryknął potężnym basem wachmistrz, pieśń w lot pochwycili obecni. Pannice, wyteżając gardziółka, usiłowały zagłuszyć, grzmiący jak armata, głos wachmistrza — napróżno jednak. Olga, patrząc od czasu do czasu na twarz jego, zażenowana spuszczała oczka na dół.

Pieśń płynęła w bór szumiący, jakby zapowiedź dalszych walk i bojów.

Hej, kto Polak, na bagnety,
Odrodzona Polsko żyj,

podnosząc kielich do góry, jeden z ułanów zawtórował.

Brzękły szkła i słodki trunek wychylony został do dna, splotły się kościste ręce chłopskie z szorstkimi dłońmi ułanów, przymierze i braterstwo znacząc.

— Całuj! — rzucił komendę wachmistrz, pierwszy dając przykład, grubemi rękami obejmując starego Walentego.

Dostało się i ciotce, mimo sprzeciwu, tylko panny stały na uboczu, przypatrując się ciekawie tej egzekucji.

— Tak... to... tak — płaczliwie zauważyła ciotka — to nasi wojacy. Do bitki, do wypitki i do całowania. Ani się nie cpędzisz przed nimi.

— Panno Oldziu — śmiejąc się rubasznie, mówił wachmistrz — i panie muszą się poddać tej miłej egzekucji. Na braterstwo, na odrodzenie — po całowanie.

— Oj, oj... — zapiszczały panny.

— E... e... tu nie ma, oj... oj... tylko — pluton baczność, do ataku!

Przestraszone panny schowały się za ciotkę, która rozkrzyżowawszy ręce śmiała się z siostrzenic:

— A widzicie, ja was obronię!

Wachmistrz uspokoił Olę, poczem panny powróciły.

Koło Jadzi dwóch ułanów na kanapce siedząc, atak do serduszka przypuścili, wachmistrz z Olgą podeszli do okna, reszta zaś ułanów koło stołu siedząc, o przeszłych trudach i znojach opowiadała.

Ciotka Albina z pod oka obserwowała siostrzenice, których przytłumiony chichot świadczył, że czas wesoło im schodzi.

— Panno Oldziuniu — szeptał rozmarzony wachmistrz — powiedz mi pani, kocha, czy nie kocha?

— Kto kocha?

— Pani czy kocha?

— Kogo?

— Mnie!

— Nie wiem!

— Więc nie mam nadziei?

— Nikt panu nadziei nie odbiera!

— Dzięki! — podniósł białe rączki Olgi do ust i gorąco ucałował.

— Co pan robi? Nie wolno!

— Rączki całuję, gdy buzi nie można!

— Nie wolno!

— Kocham, to wolno!

— Dziś, a jutro?

— Dziś, jutro, pojutrze, zawsze, do śmierci, do ostatniego tchnienia mego życia.

— Chcę mnie pan zbałamucić?

— Kocham panią i chcę prawdę wiedzieć!

— Po co?

— Aby tęsknić, marzyć o pani, o szczęściu mojem, a może w ostatniej godzinie życia, która może wybić każdej chwili, mieć ostatnią myśl radosną, że dla Ojczyzny ginę i że serce kochane zostawił.

— Ułan, to każdy bałamut!

— Dlaczego pani tak mówi?

— Ciocia tak mi mówiła!

— Bo ciocia stara zazdrości szczęścia młodym.

— O nie!

— Więc smutny pojedzie! Kto wie, może prędzej zginę...

— Nie zginie pan! Będę się codzień modlić!

— Kocha mnie pani zatem?

— Nie wiem...

— () powiedz, najdroższa, lżej będzie umierać!

— () Boże!

— Powiedz, Oldziuniu!

— Troszeczkę!

— Więc rączki można ucałować?

— Nie trzeba.

— Ale można!

Pochwycił obie rączki panny Olgi, całując ukradkiem i przyciągając ją delikatnie po za muslinowe firanki.

— Panie Stanisławie!

— Panno Oldziu! Oldziuniu droga!

Usta ich złączyły się razem, panna zadrżała, skłoniwszy głowę na piersi ułana.

Ciotka Albina, zauważywszy zniknięcie Olgi z wachmistrzem, drepząc w pantoflach, podeszła ku oknu, odsuwając delikatnie firanki. Zawstydzona Olga oczka ku ziemi spuściła, ułan zaś czerwoną różę, z włosów panienki wyjętą, do piersi przyczepiał.

— Ej Oldziu, Oldziu! — mówiła ciotka, grożąc figlarnie palcem. — Uważaj, zbałamuci cię pán ułan, odjedzie, zostawi tylko lzy i tęsknotę!... Uważaj!...

— Pani dobrodziejko! Ułan słowa dotrzymać umie! Skończy się wojna, po skarb swój przyjedzie!

— Wszyscy tak mówicie!

— Przysięgam!...

— O nie! Daj pan pokój! Nie przysięgaj, nie przyrzekaj, tylko szczęśliwie z wojny powróć, a panna ci się dochowa.

Ułan ucałował ciotkę Albinę w obie ręce, Olę przycisnął do serca i stanowczym głosem zapewnił:

— Jeśli nie zginę, przyjadę!

— Będziemy Boga prosić o to! — odrzekła uroczyście ciotka, poczem zaprosiła ich do towarzystwa.

Po północy, kiedy już pomęczeni ułani przeciągle ziewać poczęli, wstał Czabarski, wychylił ostatni toast, zachęcając do spoczynku.

Walenty z chłopami, pożegnawszy się, odszedł, panny dygnawszy, również udały się do swego pokoju, a ułani położywszy się w mig zasnęli.

— Jadziu!

— Co, siostrzyczko?

— Spisz?

— Nie chce mi się spać!

— Podobna ci się ten pan Stanisław?

— Dosyć. A tobie pan Jerzy?

— Któryż to jest?

— Ten szczupły brunecik!

— A tak, nadzwyczaj sympatyczny. A wiesz —

po chwili dodała Olga — strasznie to przyjemnie, jak luby chłopczyk całuje, a ułan do tego!

— Och! nadzwyczaj!

— Co, całował cię już twój Jerzy?

— A ciebie Staszek?

— Tak, troszeczkę... Pa, siostrzyczko! Spij!

— Pa... śpij!

Zbigniew, nerwowo paląc papierosa za papierosem, pomimo znużenia przechadzał się po pokoju, rozmyślając nad czymś głęboko. Ojciec bębnił palcami po zastawionym stole, polską piosnkę nucąc pod nosem.

Z przyległego pokoju dochodziło ich gromkie chrapanie zmęczonych ułanów i przyciszone kroki ciotki Albiny, która snuła się po kuchni, zarządzając na rano śniadanie.

Czasami ciszę nocną przerywał tętent koni patrolujących żołnierzy.

— Zbisiu, o czym myślisz?

— A ojciec o czym?

Stary zanucił półgłosem „Warszawiankę“:

Hej, kto Polak na bagnety,
Odrodzona Polsko żyj!

Powoli wstał z siedzenia, podszedł do syna, uderzył go przez ramię i patrząc w oczy, zapytał powtórnie:

— O czymże myślisz do licha?

— Może o tem, co i ojciec!

— No, gadaj Zbisiu!

— Zem powinien iść tam w polskie szeregi, o tem myślę.

— I ja o tem!

Roztworzył ojciec ramiona, syn przypadł mu do piersi, a z gardła wydarły mu się słowa:

— Ojcie, idziemy!

— Idziemy, hej kto Polak, panie święty!

— Ojcie!

— Synu!

Stary, wzruszony, po chwili wypuścił syna z objęć i gładząc wylysiałe czoło, przemówił:

— Jeszcze mi ręka przy strzale nie zadrży, dłoń pałasz utrzyma. Gospodarstwo i córki pod opieką ciotki i gromady zostawmy. Teraz są już zupełnie bezpieczne.

I poczęli wspólnie nad losem swoim i rodziny radzić, sprawa widocznie dobrze stała, bo stary wesa na zakończenie energicznie podkręcił, po łysinie się poklepał i powoli przez zęby wycodził:

— Panie święty, wszystko w porządku, jutro zatem w drogę!

Zaledwie świt począł szarzeć, gdy zerwała się ciotka Albina, nawołując służbę i budząc dziewczki dworskie do pracy.

Śniadanie już dawno stało na stole, nim ułani zdolałi się przebudzić, aby gotować się do dalszej drogi.

Czabarski zwierzył się wachmistrzowi ze swoich zamiarów, ucałowali się serdecznie, poczem ułan objaśnił go, że mogą jechać z nimi do Lublina, który już został odebrany Moskalom i tam w komendzie sprawę załatwią.

Pozostawało tylko rozmówić się z Albiną i córkami, czego najwięcej obawiał się Czabarski, ale i tę sprawę obiecał wachmistrz pomyślnie przyśniedani załatwić.

Panny również zbudziły się wczesnym rano i ubierając się, melodyjnymi głosikami poczęły nucić piosenki ułańskie.

Przy śniadaniu wstał wachmistrz z krzesła i patrząc w ukochane oczy dziewczyny, przemówił:

— Pózwólcie nadobne panny i wy zacni towarzysze broni, że wam przedstawię dwóch świeżo zaciągniętych ochotników!...

— A gdzie są? Gdzie? — spytały ciekawie panny.

— Oto tu przy stole siedzą! — to mówiąc wskazał na Czabarskiego i Zbigniewa.

Niebieskie oczęta panien stanęły nieruchomo, ciotka Albina, pijąc kawę, zakrztusiła się na dobre, stara nianka głębiej z podziwu roztworzyła, patrząc się na dziedzica i Zbigniewa.

— A cóż my bez ojca i brata poczniemy? — jęknęły panny.

— Kto by się tego spodziewał? — mruczała pod nosem ciotka.

— Otóż tak! — przemówił po chwili Czabarski — Ja ze Zbigniewem idę bronić Ojczyzny, nad wami ciotka i gromada będzie mieć opiekę.

— O święty Michale i ty święty Antoni! — westchnęła ciotka.

— Witam zatem nowych towarzyszy broni! — wzniósł wachmistrz toast, na który obecni okrzykiem odpowiedzieli.

— A cóż cioteczka na to? — spytał Zbigniew zamyśloną ciotkę.

— Ja, święty Michale i ty święty Antoni, cóż mam powiedzieć? Polacy jesteście, Ojczyzny bronić powinien każdy, kto tylko czuje się na siłach. Idziecie, szczęść wam Boże! Gospodarstwo nie zmarnieje, czuwać będę i w dzień i w nocy! Cóż powiem? Powinniście i koniec!

Czabarskiemu twarz się rozjaśniła i z wdzięcznością patrzył na ciotkę. Zachmurzone panny wzięły w obroty ułani i wkońcu harmonijna zgoda zapanała między wszystkimi.

Wiadomość ta natychmiast, przez starą niankę, przedostała się do wsi i w niedługi czas na podwórzu dworskie nadciągnęła gromada wiejska.

— Kiejmy się dowiedzieli — przemówił stary Walenty — że pan dziedzic z panem Zbigniewem do wojska polskiego idzie, ziemi naszej ojczystej bronić, uradziliśmy, aby co młode z panem dziedzicem poszło, a starzy zostaną ziemię uprawiać, bo nie godzi się wszystkim wojować, jedni się bić muszą, a drudzy chleb dla nich gotować. Tak też chłopaków my zebrali i prosimy, abyś pon dziedzic ze sobą ich wziął. I ja som bym z wami szedł, ale już stary i nie poradzę, ale synów obu za to wysyłam.

Lzy cisnęły się do oczu panien i ciotki, a stara nianka bezzębnymi ruszając szczękami, śmiała się naiwnie.

Nastąpiło pożegnanie. Łzom, całowaniom nie było końca, wreszcie ułani dosiedli koni, tylko wachmistrz z Jerzym pozostali jeszcze przy pannach, Zbigniew zaś począł siodłać konie dla siebie i dla ojca.